

W serii ukazały się:

1. Diabeł na wieży
2. Zabawki diabła
3. Diabeł w maszynie

Anna Kańtoch

Diabeł w maszynie



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Anna Kańtoch
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover illustration by Rafał Kosik
Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-08-3

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

Portret rodziny w lustrze

*Agnieszce,
która namówiła mnie na napisanie
kolejnego opowiadania o Domenicu*

Od południa zapowiadało się na zmianę pogody, lecz dopiero po zmroku usłyszeli pierwszy grzmot, brzmiący jakby w głębi gór obudził się i przeciągnął z pomrukiem skalny olbrzym. Burza, która wcześniej tak się ociągała, teraz nagle, jednym skokiem, znalazła się nad zamkiem i chwilę później jaskrawe, rozcapierzone błyskawice rozpały już niebo raz po raz, podświetlając nagie szczyty i pozostawiając pod powiekami powidoki błękitnego blasku.

Wciąż nie padało, choć zerwał się już wiatr – pierwsze, nieśmiałe na razie podmuchy burzące zastygły chłód wiosennego dnia. Był czerwiec, na nizinach od dawna panowało lato, ale w górach na ciepłe dni trzeba będzie poczekać jeszcze tydzień albo dwa. Mimo to Losaneta śmiało wychyliła się przez okno. Z niższego piętra dolatywały strzępy pośpiesznie szeptanych modlitw – pewnie służba zebrała się wokół obrazu Czarnej Berengarii i prosiła świętą o opiekę. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

— Nie boisz się burzy? — zapytał jasnowłosy chłopiec, podchodząc do okna. Lekko kpiący, a zarazem pełen czułości wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że pyta jedynie dla żartu, bo doskonale zna odpowiedź.

Dziewczyna odwróciła się.

— To śliczne! — powiedziała z zachwytem. — Jak można bać się czegoś tak pięknego!

Johan przyglądał się siostrze z ciekawością. Losaneta w identyczny sposób uśmiechała się zeszłego lata, gdy w teatrze była świadkiem sztucznej burzy, tworzonej za pomocą skomplikowanej maszyny i bębnienia w blaszane arkusze. Jego siostra, biedactwo, miała problem z odróżnianiem rzeczywistości od fantazji, ale za to właśnie ją kochał.

Oczywiście nie znaczyło to, że zamierzał zrezygnować z drażnienia dziewczyny.

— Z powodu tego fascynującego spektaklu co roku ginie w górach kilkudziesięciu wędrowców, wiedziałaś?

— Naprawdę? — Otworzyła szeroko błękitne oczy.

— Naprawdę. — Przedrzeźniał ją. Łatwo mu to przyszło, bo był do siostry niezwykle podobny – tak samo złotowłosy i piękny. Ludzie często brali ich za bliźnięta, choć ona skończyła siedemnaście lat, a on miał dopiero piętnaście.

Losaneta posmutniała, jej śliczne oczy zaszklily się łzami, a Johanowi od razu zmiękło serce. Objął siostrę i przytulił ją mocno. Zresztą mówienie o śmierci w ich sytuacji było bardzo nieestosowne.

Gdy głąskał uspokajająco dziewczynę, pierwsze ciężkie krople uderzyły o skałę u podnóża zamku. Niebo rozjarzyło się elektrycznym błękitem i niemal natychmiast nad ich głowami przetoczył się grzmot, głęboki, dudniący odgłos brzmiący jak dźwięk pękających murów. Losaneta

zaciśnęła dłoń na ramieniu brata – jak na wiotką pannę była zaskakująco silna – a on przycisnął ją do siebie mocniej. Do komnaty wdarł się wiatr, niosąc ze sobą zimne krople, na zewnątrz deszcz zmienił się w ścianę wody. Johan delikatnie odsunął siostrę i sięgnął do okna, by je zamknąć; dość mieli problemów i bez zapalenia płuc. Zanim jednak to zrobił, spojrział w dół na biegnącą przełęczą drogę, która rozgałęziała się – jedna odnoga biegła do miasteczka w dolinie, druga skręcała w stronę zamku. Z wysokości, na której się znajdowali, chłopiec doskonale widział jadący drogą powóz. Błyskawice oświetlały otulonego peleryną woźnicę na koźle, poganiającego parę gniadych koni.

— Kto to? — zapytała Losaneta, przytulając się do pleców brata. Johan czuł na karku jej ciepły, nerwowy oddech. — Myślisz, że...

Powóz dotarł już do rozgałęzienia i chłopiec odruchowo zaciśnął pięści. Przełęcz pograżyła się w ciemności, a kiedy na niebie rozbłysła kolejna błyskawica, oboje ujrzeni skręcające w stronę zamku gniadosze.

— To on — powiedział chłopiec, odwracając się do siostry. — Na pewno. Kto inny jechałby do nas w taką pogodę?

Od otwartego okna wiało mokrym chłodem, wilgoć osiadała na policzkach panny i skręcała w pierścionki jasne włosy.

— Miał przyjechać w środę...

— Dzisiaj jest środa, głuptasie. — W głosie Johana zabrzmiała pełna czułości pobłażliwość. Wiecznie bujająca w obłokach Losaneta często traciła poczucie czasu.

Dziewczyna zadrzała.

— Czy to znaczy...

— Że teraz już wszystko będzie dobrze, oczywiście.

Skinęła głową, ale w oczach miała powątpiewanie, którego nie zdążyła ukryć. Johan chciał coś powiedzieć, kiedy Losaneta krzyknęła cienko, przenikliwie.

Powóz, jak na tę pogodę, pędził zbyt szybko. Błyskawice wyławały z mroku spłoszone konie i wysokie skalne ściany po jednej stronie, po drugiej rozciągała się przepaść. Co prawda niezbyt głęboka, ale jednak niebezpieczna. Przez szum deszczu i słabsze teraz pomruki gromów przebijały się uderzenia kopyt o kamień, trzask bata i pokrzykiwania spanikowanego woźnicy.

— *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* —
Dziewczyna się przeżegnała.

Burza wyraźnie traciła impet, deszcz ustawał. Błyskawice pojawiały się coraz rzadziej, na długie sekundy pogrążając w mroku krętą górską drogę. Konie wciąż gnały przed siebie, niebezpiecznie szybko zbliżając się do zakrętu. Johan wstrzymał oddech, Losaneta powtarzała słowa modlitwy, choć – chłopiec mógłby się założyć – dramatyzm całej tej sceny sprawiał jej w pewnym sensie przyjemność. Nad przełęczą znowu zapadła ciemność. Brat i siostra czekali na błyskawicę jak na wyrok. Sekunda, dwie, trzy... Błysnęło, ale zbyt krótko i daleko, by dało się dostrzec coś więcej niż czarny kształt powozu, balansujący na krawędzi przepaści. Dziewczyna zamknęła oczy, a chłopiec ścisnął jej dłoń. Patrzył, choć widział jedynie strugi deszczu, połyskujące srebrem w mdłym świetle księżyca, który na chwilę wychynął zza chmur. Zamiast gromu usłyszeli rzenie śmiertelnie przerażonych koni i głuchy trzask pękającego drewna, najpierw jeden, a potem kolejne, coraz cichsze, kiedy powóz uderzając o skały, staczał się w głąb przepaści.

Gdy niebo rozjaśniła kolejna słaba błyskawica, na drodze nie było już nikogo.

Czwórka mężczyzn wkładała pośpiesznie płaszcze, tłocząc się w wąskiej sieni. Johan patrzył na nich z rozpaczą.

— Pozwól mi iść z wami — spróbował jeszcze raz, choć wiedział, że to bez sensu. — Nie jestem dzieckiem!

— Jesteś i dlatego właśnie zostajesz. — Barczysty czterdziestolatek o arystokratycznych rysach sprawiał wrażenie kogoś, kto nie znosi sprzeciwu.

Chłopiec nadał się.

— Andreu i Grigori są ode mnie starsi tylko o trzy lata.

— I to w zupełności wystarczy — odparł Andreu, sięgając po linę. Wyglądał jak młodsza kopia ojca. — Zmykaj i nie przeszkadzaj dorosłym.

Johan zgarbił się i zacisnął usta. Trzeci z braci, równie jasnowłosy jak wszystkie dzieci wicehrabiego de Limayraca, lecz najmniej do rodzica podobny, mrugnął do chłopca.

— Następnym razem, kiedy ktoś spadnie w przepaść, ojciec na pewno pozwoli ci pójść.

Służący zdjął z haka latarnię, zapalił ją, krzesząc ogień, i wkrótce cała czwórka zniknęła w mroku. Johan odprowadził ich spojrzeniem, a potem zamknął drzwi, przetykając złość przez ściśnięte gardło. „Następnym razem, kiedy ktoś wpadnie do przepaści, ojciec na pewno pozwoli ci pójść”. To wcale nie brzmiało jak pocieszenie, prędzej jak kpina.

Gdy się odwrócił, napotkał spojrzenie siostry. Miękki blask świecy stojącej we wnęcie okiennej podkreślał delikatność jej rysów i bladą cerę. Losaneta zawahała się na ułamek sekundy, a potem podbiegła i chwyciła brata za rękę.

— Tak się cieszę, że nie pojechałeś z nimi — powiedziała żarliwie. — Nie mogłabym tu zostać sama, po prostu bym nie mogła!

Burza pomrukiwała już tylko niegroźnie po drugiej stronie gór, lecz deszcz wciąż siąpił, a podmuchy porywistego wiatru ciskały w twarze mężczyzn krople wody. Pierwszy szedł skulony pod obszerną peleryną służący z latarnią, za nim wicehrabia i dwaj synowie. Wszyscy urodzili się w tych górach, znali tu każdy skrawek ziemi i każdą skałę. I dobrze wiedzieli, jak bardzo zdradliwe potrafią być śliskie kamienie – dlatego schodzili ostrożnie, starannie wybierając miejsca, w których stawiali stopy. Pośpiech nie leżał w ich naturze. Człowiekowi, który spoczywał w tej chwili na dnie przepaści, na nic nie przydadzą się ratownicy z połamanymi nogami.

Nie musieli szukać miejsca, w którym powóz wypadł z drogi. Jeden z koni wciąż rżał rozpaczliwie, a w jego głosie było tyle bólu, że Symeon de Limayrac, twardy człowiek gór, wzdrygnął się odruchowo. Potem wyjął z pasa pistolet i podał go Grigoriemu.

— Dobij zwierzę i zobacz, czy jest kogo wyciągać.

Chłopak skinął głową. Andreu przymocował jeden koniec liny do pnia rosnącej niedaleko limby. Było to niskie, powykręcane od górskich wichrów drzewko. Sprawiało wrażenie rachitycznego, lecz Grigori nie miał oporów, by mu zaufać – wiedział, że aby przetrwać w takim miejscu, limba musiała dobrze wczepić się korzeniami w skaliste zbocze.

Gdy Andreu obserwował, jak młodszy o kilkanaście minut brat znika za krawędzią przepaści, na jego twarzy nie uzewnętrzniło się nic z uczuć szalejących we wnętrzu chłopaka. To on powinien tam zejść, nie Grigori, wiedział jednak, że decyzja ojca jak zawsze była dobra – lżejszy i zwinniejszy bliźniak miał większe szanse, by bezpiecznie dotrzeć na dół. Wybór był oczywisty i Andreu nie

zamierzał go kwestionować – nawet teraz, kiedy chodziło dosłownie o śmierć i życie, nawet w myślach. Patrzył więc tylko, mając nadzieję, że Grigori będzie miał odwagę zrobić to, co konieczne.

Tymczasem młodszy brat, z latarnią przewieszoną przez przegub i pistoletem za pasem, schodził coraz niżej bez większych problemów. Lina miała rozmieszczone w równych odstępach węzły, w które powkładano krótkie, lecz wytrzymałe patyki, tak że całość tworzyła coś w rodzaju prymitywnej drabinki sznurowej. Rzenie konia z każdą chwilą słabło, a kiedy chłopak stanął obiema nogami na pewnym gruncie, zapadła cisza. Grigori uniósł latarnię, licząc na to, że zwierzę wreszcie skonało, ale nie – światło wyłowiło z mroku wielkie mrugające oko i spieniony pysk, który poderwał się w ostatnim rozpaczliwym zrywie. Chłopak wyjął pistolet, odwiódł kurek i strzelił. Huk odbił się echem wśród skał i koń znieruchomiał. Niedaleko leżał woźnica, deszcz padał w szeroko otwarte oczy, a krew z pękniętej czaszki mieszała się z wodą i wsiąkała w ziemię. Od razu było widać, że w tym przypadku żadna pomoc na nic się nie przyda.

Dwadzieścia stóp, pomyślał, bo taką mniej więcej głębokość miała przepaść w tym miejscu. Wystarczająco dużo, by ktoś, kto ma pecha, rozbił sobie głowę. I wystarczająco mało, by ktoś obdarzony odrobiną szczęścia dotarł na dno żywy, choć pewnie mocno poobijany.

Może pasażer miał więcej fartu niż woźnica.

Grigori postawił latarnię na boku przewróconego powozu, uchylił drzwiczki, które teraz otwierały się do góry niczym kłapa w podłodze, i zajrzał do środka. Światło latarni odbiło się w odłamkach strzaskanej szyby, błysk wyłowił z ciemności bladą twarz podróżnego. Mężczyzna był nieprzytomny, ciemne włosy miał zlepione

krwią, lewą rękę wykręconą pod nienaturalnym kątem, ale niewątpliwie żył. Chłopak zmarszczył brwi. Nie na widok piersi rannego unoszonej w nierównym oddechu, lecz drugiej postaci, leżącej w cieniu. Opuścił lampę niżej, przechylając się w głąb powozu. Ranny był identycznie ubrany, z identycznymi ciemnymi włosami w identyczny sposób związanymi na karku. Grigori poczuł ukłucie niepokoju. Co, u licha?

— Przeżył ktoś? — krzyknął z góry Symeon de Limayrac, ale chłopak postanowił go zignorować. Usprawiedliwi się później, że poprzez szum deszczu nie usłyszał pytania.

Zawahał się, a potem wskoczył do powozu. Szkło zachręściło mu pod stopami, latarnia zakołysała się w rękach, rzucając refleksy światła na obite miękkim płuszem ścianki. Najprawdopodobniej uchroniły przed śmiercią pierwszego podróżnego, a być może także i drugiego.

Grigori pochylił się, chwycił za ramię leżącego w cieniu i niezbyt delikatnie odwrócił go na plecy. Stukot ulewy bębniącej o ścianki powozu zagłuszył przekleństwo, które wyrwało się z ust chłopaka.

Obaj podróżni nie tylko ubrani byli identycznie. Również ich twarze podobne były do siebie jak dwie krople deszczu.

Dwaj wyciągnięci z przepaści mężczyźni leżeli w dwóch zamkniętych na klucz komnatach zamku Limayrac. Obu zdążył już obejrzeć wezwany z miasteczka lekarz, który studia kończył przed czterdziestoma laty i wciąż jeszcze wierzył w potęgę astrologii. Tym razem postawienie horoskopu nie wchodziło w grę, starszek pokiwał więc tylko siwą głową, pomamrotał, po czym orzekł, że obaj

pacjenci będą żyć – jednemu wystarczy nastawić zwichniętą rękę, drugi natomiast, zdaniem sędziwego medyka, koniecznie potrzebował na pierś okładu z kozich bobków. Wicehrabia de Limayrac podziękował za radę, do nastawienia ręki zagonił silnego pachotka, recepturę na maść bobkową zaś rozsądnie wrzucił do kominka.

Zbliżała się północ, gdy rodzina de Limayraców zebrała się w kaplicy na tradycyjną wieczorną modlitwę. Wicehrabia odmówił „Ojcie nasz”, a potem poprosił Czarną Berengarię o wsparcie dla leżących bez przytomności gości. Czwórka jasnowłosych dzieci zawtórowała mu cichymi szeptami, jasnowłosa żona patrzyła na tę scenę z łagodnym, dumnym uśmiechem – niezależnie od tego, jakie zło czyhało wokół, jej rodzina była bezpieczna, kochająca się i dobra.

Gdy skończyli, wicehrabia wstał, dwójkę młodszych pociech ucałował po ojcowsku w czoło, a bliźniakom skinął głową. Grigori chciał coś powiedzieć, ale mężczyzna uniósł dłoni.

— Nie ma sensu martwić się na zapas — powiedział.
— Miejmy nadzieję, że jutro coś się wyjaśni. Pora się położyć, nie sądzisz, moja droga?

To nie było pytanie i żona świetnie o tym wiedziała. Wstała z kłęcznika, by podążyć za mężem. Czwórka młodych de Limayraców została sama. Losaneta podniosła się, z uśmiechem wdzięczności przyjmując pomoc Johana, Grigori patrzył jeszcze przez chwilę na krzyż, a potem przeżegnał się i odwrócił w stronę rodzeństwa.

Trzy pary oczu spoglądały na niego oskarżycielsko. W przypadku Losanety był to łagodny wyrzut, dwójce braci natomiast niewiele brakowało do wściekłości.

— Musiałeś to zrobić? Naprawdę musiałeś? — zapytał Andreu. — Przez ciebie...

Dziewczyna uniosła dłoń gestem zaskakująco podobnym do gestu ojca.

— Proszę, nie kłóćmy się teraz — powiedziała. — Ojciec ma rację, nie ma sensu martwić się na zapas.

— Nie rozumiesz sytuacji, siostrzyczko. — Andreu pokręcił głową. — Musimy podjąć jakąś decyzję.

— Dlaczego? — Losaneta powiodła spojrzeniem po twarzach braci. — Czy któryś z was wie, co się dzieje w zamku?

Andreu zacisnął usta i z ociąganiem zaprzeczył, Grigori parsknął, po czym wzruszył ramionami. Johan tylko potrząsnął głową.

— Sami widzicie. — Panna uśmiechnęła się słodko. — Nie mamy się czym martwić.

Leżący na łóżku mężczyzna ocknął się kilkanaście sekund wcześniej, ale jeszcze nie otworzył oczu. Nie potrafił sobie przypomnieć własnego imienia ani nazwiska, nie wiedział, gdzie się znajduje. Instykt jednak podpowiadał mu, że lepiej będzie, jeśli najpierw zorientuje się w miarę możliwości w sytuacji, a potem dopiero zdradzi z odzyskaniem przytomności.

Domenic Jordan – tak właśnie się nazywał. Imię i nazwisko napłynęło do niego z ciemności razem ze wspomnieniem nużącej podróży i deszczu bębniącego o dach powozu. Dokąd jechał?

Do zamku Limayrac, podpowiedziała ciemność, nadal jednak nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego właściwie zmierzał w to miejsce. W jego wspomnieniach ziały dziury, głowa bolała, jakby zeszłego wieczoru wypił zbyt wiele mocnego wina. Domenic Jordan pamiętał jednak z całkowitą pewnością, że nie zwykł się upijać. Nawet za

niedawnych studenckich czasów rzadko wychylał więcej niż kilka kieliszków. I wiedział o sobie jeszcze jedno – nie znosił otóż uczucia bezradności, bycia zdanym na łaskę innych. Leżał więc teraz w ciepłej pościeli, oddychając płytko, bo każdy ruch klatki piersiowej powodował ból, słuchał trzaskającego niedaleko ognia i z trudem tłumił irytację.

Ktoś obok wstał i szurając nogami, podszedł do kominika, by dorzucić drewna. Płomienie musiały strzelić wysoko, bo Jordan poczuł na policzkach uderzenie gorąca. Ostrożnie unióś powieki. Przy ogniu kucał siwowłosa mężczyzna – sądząc po stroju, służący. Chwilę później starzec odwrócił się i na wpół ślepe, wodniste oczy napotkały spojrzenie ciemnych oczu leżącego na łóżku mężczyzny. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym służący wstał i zaskakująco chyżo jak na swój wiek pognął do drzwi. Otworzył je i wyszedł, zamykając z drugiej strony.

Zgrzyt klucza w zamku momentalnie zmienił irytację w coś niebezpiecznie bliskiego strachu. Jordan spróbował usiąść. Udało mu się, choć za cenę mdlącego bólu, który obejmował cały prawy bok. Złamane żebra, podejrzewał to już wcześniej. Poruszył stopami – dzięki Bogu, wyglądało na to, że przynajmniej nogi ma całe. Nie zaryzykował jednak wstania, rozejrzał się tylko wokół. Leżał w niewielkiej komnacie pełnej ciężkich, staroświeckich mebli z górskiej sosny. Przez wąskie okno widać było zaciągnięte chmurami niebo, na stoliku obok łóżka stał gliniany kubek z rozcieńczonym winem. Jordan napił się i czekał. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego.

Chwilę później w zamku znowu zgrzytnął klucz i do komnaty wszedł jasnowłosa mężczyzna. Miał orli nos, wysoko sklepienie czoła i pięknie wykrojone usta – rysy niewątpliwie arystokratyczne, lecz nie zniewieściałe, jak

to czasem bywało z osobami w tym typie. Od przyby-
sza aż była zdrowa męska siła, taka, która kształtuje się
w ogniu bitew, na polowaniach albo – w ostateczności –
przy stołach biesiadnych, nigdy natomiast wśród ksiąg.
Jordan nie musiał się zastanawiać, by odgadnąć, że ma
do czynienia z panem zamku. Nie uszedł jego uwagi
także pistolet za pasem wchodzącego oraz ręka, która
znajdowała się niebezpiecznie blisko tegoż pistoletu.

— Obudził się pan — powiedział wicehrabia de
Limayrac, a Jordan właśnie w tym momencie przypo-
mniał sobie jego imię: Symeon. — Wie pan, kim pan jest?

— Domenic Jordan.

Wicehrabia lekko, niemal niedostrzegalnie, zacisnął
usta, a jego ręka powędrowała jeszcze bliżej pistoletu,
by po chwili cofnąć się z ociąganiem, jakby mężczyzna
uświadomił sobie, że leżący w łóżku ranny nie stanowi
żadnego zagrożenia.

— Jest pan pewien?

Pytanie zabrzmiało absurdalnie i w innych okoliczno-
ściach Jordan prawdopodobnie rzuciłby jakąś ironiczną
uwagą. Teraz jednak nie miał ochoty na żarty. Coś tu było
mocno nie w porządku.

— Oczywiście, że tak.

— Tamten mówi to samo... — mruknął de Limayrac.

— Tamten? — Jordan uniósł brwi.

— Wie pan, co się stało? Pamięta pan burzę i spadający
w przepaść powóz?

— Nie — musiał przyznać Jordan. — Pamiętam jedynie,
że jechałem do zamku Limayrac. Bo jestem w Limayrac,
prawda?

Wicehrabia skinął głową.

— Ocaliliśmy pana oraz pańskiego towarzysza. Obaj
mieliście szczęście. Woźnica zginął, niestety. Kiedy pogo-

da się poprawi, wydostaniemy jego ciało i sprawimy nieszczęśnikowi chrześcijański pogrzeb. Ale pewnie do Małgorzaty nie przestanie padać. Dziś jest szósty czerwca — dodał dla wyjaśnienia.

Jordan poszukał we wspomnieniach nazwiska woźnicy oraz jego twarzy. Nie znalazł ani jednego, ani drugiego, ale odsunął chwilowo ten problem na bok.

— Kogo ma pan na myśli, mówiąc o moim towarzyszczu?

— Człowieka, którego znaleźliśmy z panem w powozie. Wygląda jak pański brat bliźniak. Identyczne rysy twarzy, identyczne ubranie. Dwie godziny temu odzyskał przytomność.

— I twierdzi, że również nazywa się Domenic Jordan?

Symeon de Limayrac skinął głową. Jego dłoń znowu powędrowała w stronę pistoletu i znowu się cofnęła. Niebieskie oczy pozostały czujne.

— Jest pan pewien, że nie ma bliźniaczego brata?

— Jestem. Poza tym — tym razem Jordan pozwolił sobie na lekki uśmiech, choć bardziej przypominał on skrzywienie warg — nawet gdybym miał, to raczej nie nosilibyśmy tego samego imienia.

— I nie wie pan, skąd... wziął się ten drugi w pańskim powozie?

Jordan jeszcze raz przywołał wspomnienia, tym razem dawniejsze. Do zeszłego tygodnia wszystkie były jasne. Pamiętał, jak świętował zakończenie studiów medycznych, a potem, gdy kolega ze stacji odchorowywał zabawę, siedział przy biurku i rozważał na chłodno, co powinien począć ze swoją przyszłością. Dotąd żył ze stypendium ufundowanego przez biskupa Malartre'a, teraz miał do wyboru otworzyć praktykę, zostać na uniwersytecie jako asystent profesora Parmenesa albo poszukać sobie innej pracy. O tym, że do leczenia się nie nadaje, wiedział

od dawna – brakowało mu cierpliwości i współczucia niezbędnego przy łóżku chorego, nie wspominając o tym, że banalne choroby zupełnie go nie interesowały. Oferta Parmenesa brzmiała intrygująco, problemem były jednak niskie uniwersyteckie pensje – Domenic Jordan, choć dotąd nie miał zbyt wielu okazji, by posmakować wystawnego życia, to już wiedział, że lubi rzeczy w najlepszym gatunku, takie, za które trzeba słono płacić. Pochlebiał sobie, że mógłby zerwać z tą słabością, gdyby musiał, ale... wolał nie musieć. I właśnie wtedy, niczym prawdziwy dar losu, pojawiło się zaproszenie od biskupa, który pokazał Jordanowi list Symeona de Limayraca, a potem zaproponował wyprawę w góry, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że jeśli protegowany się sprawdzi, w przyszłości będzie czekać na niego więcej takich niebezpiecznych, lecz hojnie opłacanych zadań. Jordanowi niebezpieczeństwo nie przeszkadzało, perspektywa rozwiązania tajemnicy pociągała zaś jeszcze bardziej niż wizja pękatej sakiewki, dlatego propozycję Jego Ekscelencji przyjął z młodzieńczym entuzjazmem, którego teraz, kiedy już ochłonął, szczerze mówiąc, trochę się wstydził.

Dalej, niestety, natrafiał we wspomnieniach na coraz więcej czarnych dziur. Podróż z Alestry jawiła się jako pasmo niepowiązanych ze sobą obrazów: zadymione wnętrza karczmy, w której zatrzymał się na obiad, czerwony nos woźnicy (jak on się nazywał?) opowiadającego jakąś mało zabawną dykteryjkę czy wreszcie pola pokryte aż po horyzont fioletowymi kwiatami lawendy. A także słońce, wpadające przez okno powozu i kładące się długimi złotymi pasmami na obitym pluszem siedzeniu naprzeciwko – pustym, bo Domenic Jordan mógłby przysiąc, że większość drogi przebył samotnie. Jeśli ktoś mu towarzyszył, musiał się dosiąść na ostatnim etapie

podróży, tym, którego nie pamiętał zupełnie. Od wysilania pamięci tylko jeszcze bardziej rozboląła go głowa. Coś się wtedy wydarzyło, coś ważnego – to jedyne, czego był pewien. Ujrzał kolejny obraz: strużki deszczu na szybie i majaczący za oknem powozu ciemny kształt, ale wszystko zniknęło, zanim zdążył uchwycić sens tego wspomnienia.

Spojrzał na Symeona de Limayraca, który z prawdziwie góralską cierpliwością czekał na odpowiedź.

— Niestety, nie. A co mówi mój sobowtór?

Wicehrabia skrzywił się lekko.

— Że nie pamięta. I nie wie też, po co właściwie do nas jechał. Musiałem mu wszystko wytłumaczyć.

— Obawiam się, że jestem w takiej samej sytuacji — przyznał Jordan. — Gdyby mógł mi pan powtórzyć to, co pan powiedział tamtemu człowiekowi, byłbym bardzo wdzięczny.

De Limayrac westchnął ciężko.

— Niech będzie. Wszystko zaczęło się od śmierci młodego Huca, który pracował w kuchni. Bezcelny chłopak, ale całkiem zdolny cukiernik. Znaleźliśmy go w kącie podwórza, niedaleko latryn, z rozerwanym gardłem. Uznałem wtedy, że to sprawka jednego z psów, które czasem uciekają z kojca i włóczą się po zamku. Jednak parę dni później zginęła Helis, nasza stara służąca. Jej gardło również zostało rozcięte, jakby rozszarpane przez zwierzę. Tym razem do zabójstwa doszło w pokoju na trzecim piętrze, nie było więc mowy o włóczącym się psie. Od razu przeszukaliśmy zamek, ale nikogo obcego nie znaleźliśmy. Za to w jednej z nieużywanych komnat natrafiliśmy na ślady bluźnierczego rytuału. Kreda niestarannie starta z posadzki, plamy po wosku i czarnomagiczna księga, którą ktoś bez powodzenia próbował spalić w kominku

– nie mieliśmy wątpliwości, na co patrzymy. Wtedy postanowiłem napisać do biskupa Malartre’a, który kiedyś był u nas proboszczem, a on obiecał, że przyśle tutaj pana. Podobno zna się pan na tego typu sprawach.

— A ja zjawiłem się w dwóch osobach — dokończył Domenic Jordan, lekko zdumiony żołnierską zwięzłością tego raportu. — Bardzo niezręczna sytuacja, z pewnością.

— Cieszę się, że pan to rozumie — mruknął de Limayrac. — Nie mam pojęcia, kto jest prawdziwym Domenikiem Jordanem ani kim jest ten drugi, ale dopóki to się nie wyjaśni, żaden z was nie wyjdzie ze swojego pokoju. Będziecie mieli do dyspozycji służącego, który zadba o wasze potrzeby, jednak drzwi pozostaną zamknięte na klucz. I pchnąłem już rano do Alestry posłańca z kolejnym listem. Niech biskup zdecyduje, co w takiej sytuacji robić.

Domenic odruchowo skinął głową. Najwyraźniej został właśnie więźniem, ale nie miał o to pretensji – na miejscu wicehrabiego zapewne postąpiłby tak samo. Teraz należało się zastanowić, jak udowodnić, że jest prawdziwym Jordanem, a nie oszustem.

— Czy moje rzeczy zostały w powozie? — zapytał. — Miałem torbę, a w niej między innymi dokumenty i parę pistoletów.

— Zabraliśmy do zamku wszystko, co znaleźliśmy. Rzeczy osobiste... No cóż, obawiam się, że chwilowo musicie się panowie nimi podzielić. Broni nie oddam żadnemu z was. Nawiasem mówiąc, tamten też o nią pytał.

Domenic Jordan skrzywił się lekko. Wyglądało na to, że jego tajemniczy towarzysz ma przewagę. Wcześniej odzyskał przytomność, a niewątpliwie łatwiej zrobić dobre wrażenie, będąc pierwszym niż drugim. Nie wspominając już o tym, że sobowtór miał też więcej czasu, by zorientować

się w sytuacji. Dwie godziny, pomyślał Jordan. Niewiele, ale w tym przypadku i taka różnica mogła kosztować życie. Zwłaszcza jeśli zagadkowy mężczyzna wcale mężczyzną nie był, co wydawało się nader prawdopodobne.

— Rozumiem, że czuje się pan nieswojo, prowadząc drugi raz tę samą rozmowę — zaczął lekko, skrywając lęk. — Ale proszę spojrzeć na to z mojej perspektywy. Przywykłem uważać się trochę za oryginała, taka mała słabostka. A teraz nagle spotykam kopię samego siebie. I mam szczerą nadzieję, że mój sobowtór niczego podobnego nie powiedział.

— Owszem, powiedział. Pytał też, kto mieszka w zamku. Powtórzyć panu?

— Chętnie posłucham.

— Jestem tu ja, moja żona, dòna Ysabeau, oraz czwórka dzieci. Andreu i Grigori to bliźnięta, obaj mają po osiemnaście lat. Potem Losaneta, moja jedyna córka, siedemnastoletnia, oraz dwa lata młodszy Johan. Służby mamy osiem osób, wszyscy to dobrzy, zaufani ludzie, często pracujący dla naszej rodziny od pokoleń.

— Rozumiem więc, że nikogo z nich nie podejrzewa pan o przeprowadzenie magicznego rytuału?

— Z całą pewnością nie.

— W takim razie kto zamordował Huca i Helis? — spytał łagodnie Jordan.

— Nie mam pojęcia. To pan miał się tego dowiedzieć, nie ja. — Wzrok de Limayraca nie pozostawiał wątpliwości, że uważa gościa za zbyt młodego i niedoświadczonego, by powierzać mu tak odpowiedzialne zadanie.

Domenic Jordan zapytał jeszcze o parę rzeczy, ale nie dowiedział się niczego ciekawego. Odnosił irytujące wrażenie, że błądzi po omacku, sięgnął więc po jedyne konkrety, jakie w tej chwili mógł mieć.

— Czy mógłbym obejrzeć zwłoki Huca i Helis?

— Oboje zostali już pochowani.

— Skąd ten pośpiech?

Wicehrabia wzruszył ramionami.

— A po co miałem ich trzymać w piwnicy? Jasnowidza w pobliżu nie ma, a zanim udałoby mi się sprowadzić kogoś z Alestry, zwłoki zaczęłyby gnić i na nic by się nie przydały.

Jordan przełknął cisnące się na usta wyjaśnienie, że nie tylko jasnowidze potrafią wyczytać prawdę z martwego ciała.

— W takim razie chciałbym obejrzeć tę czarnomagiczną księgę, bo zakładam, że wyjęliście ją z kominaka? — Mięsień na twarzy wicehrabiego drgnął lekko.

— Zakładam również, że mój sobowtór już o to prosił, prawdopodobnie też zapewnił pana, że sama księga, bez akcesoriów takich jak świece czy święcona kreda, na nic się nie przyda, więc nie musi się pan obawiać, że odprawię jakiś niebezpieczny rytuał.

De Limayrac wolno skinął głową.

— Tak właśnie powiedział.

— Zgodził się pan udostępnić księgę?

— Tak — wicehrabia skrzywił się lekko — choć nie ukrywam, że cała ta sytuacja bardzo mi się nie podoba. Ze względu na mocno nietypowe okoliczności staram się traktować każdego z panów raczej jak gościa niż więźnia, a nie jest to dla mnie łatwe. Cóż, skoro jednak zgodziłem się w przypadku tamtego, wypada, by również i pan miał okazję zapoznać się z księgą.

De Limayrac wstał i kontynuował już przy drzwiach:

— Gdyby pan czegoś potrzebował, służący będzie czekał na korytarzu. Uczyniłem też mojego najstarszego syna osobiście odpowiedzialnym za bezpieczeństwo obu